**2020-11-10 16:46 | Katarzyna K. (poczta DE FACTO)**

Pozwolę sobie zacząć od tego, że fanką filmów Tarantino jestem odkąd obejrzałam pierwszą część „Kill Bill" będąc ciągle jeszcze nastolatką. Zakochałam się wtedy w sposobie prowadzenia filmów przez tego artystę. Ma on niezwykły talent i miłość do kinematografii. W każdym jego filmie tą miłość widać.Jest on niesamowicie sprawny jako reżyser i scenarzysta. Potrafi wyciągnąć z kiczowatych motywów kina klasy B czy C i oddać im hołd w taki sposób, że stają się one czymś oryginalny,. J              ego filmy balansują często na granicy kiczu. Na przykład taka „Nienawistna Ósemka" była pełna ogranych motywów. Przypominała trochę stary western, ale cała historia została tak złożona, że nie tylko trzymała się kupy, ale i miała sens. Tam też akcja toczyła się większość filmu dość powolnie, ale gdy ruszyła to zrobiła się naprawdę krwawa jatka.  Tak samo jak w „Pewnego razu w...Hollywood" końcówka jest mocna i trzyma w napięciu.

Noim ulubionym filmem Tarantino pozostaje jednak Django. Scena w której postać Leonardo Dicaprio opowiada o tym jak uwielbia prozę Dumas, a Christoph Waltz mówi mu, że Dumas był czarny była bezcenna. Uważam, że Django było zdecydowanie najlepszym filmem Leonardo Dicaprio, a widziałam ich naprawdę sporo. Jestem jego fanką odkąd obejrzałam „Złap mnie jeśli potrafisz". Gdy był kinowym amantem, idolem nastolatek uważałam go za przereklamowanego. Dziś nie dziwi mnie dlaczego Tarantino czy Scorsese tak lubią z nim pracować.

Scena, gdy Rick ma napad złości, nienawiści do samego siebie w przyczepie to majstersztyk. To było naprawdę bardzo dobre aktorstwo w trudnej scenie. Ogólnie cała trójka głównych bohaterów mnie kupiła. Zarówno Nick, Clifff i Sharon są absolutnie wiarygodni. Są fantastycznie napisanymi postaciami. Cały film jest fantastycznym hołdem oddanym kinu z tamtej epoki. Jest też świetnym pokazaniem zmieniającego się wtedy swiata i światopoglądu, zilustrowanymprzez pojawiającą sę gdzieś tam w tle „bandę hippisów" jak nazywano członków „Rodziny" Mansona.

Luźne podejście do faktów historycznych nie przeszkadza mi w filmach, dopóki nie są one reklamowane jako biografia. Przwyczaiłam się już do drobnych anachronizmów, w niektórych filmach jak „Maria Antonina" Coppoli mi się nawet podobały.

Tarantino od początku mówił, że chce oddać hołd kinu z końcla lat 60. Nigdy nie mówił, że to jest biografia czy film historyczny. Pomimo lekkich zmian w historii, jego film ma mniej anachronizmów niż wiele innych produkcji.

Myślę, że podobną tematykę do „Pewnego razu w... Hollywood" poruszał „Mój tydzień z Marilyn". Był to film o tym jak powstawał film „Książę i aktoreczka" pokazujący Marilyn Monroe od innej, bardziej ludzkiej strony. Ukazywał on też stosunek Laurence Oliver do tej aktorki oraz jego zachowanie na planie jak i jego małżeństwo z Vivien Leigh. Tamten film opowiadał o kinie z końca lat 50, czyli również końcu pewnej epoki. Ukazywał ciebie sławy w sposób bardzo delikatny. U Tarantino jest to bardziej dosadne. Doskonale widzimy, co sława przyniosła Rickowi oraz jak żyje się osobom, które choć ważne dla przemysłu filmowego, nie firmują go swoją twarzą.

 Kontrast pomiędzy życiem Cliffa i Ricka jest aż nadto widoczny. Podczas gdy Rick mieszka w pięknej willi, bywa na eleganckich imprezach, Cliff mieszka ze swoją suczką, Bredną, w przyczepie, a jego pupilka je lepiej niż on.

Żaden z nich, jednak, nie jest do końca szczęśliwy. Cliff uważa, że w życiu nic nie osiągnął, a Rick nie jest w stanie pogodzić się z tym, że jego pozycja w Hollywood się zmieniła. Broni się jak może przed nowym stanem rzeczy, ale w końcu mu ulega, zgadzając się na udział w Spaghetti westernach.

Nie jestem w stanie powiedzieć kogo lubię najbardziej. Zarówno Rick z Cliffem, jak i Sharon, są świetnie rozpisanymi postaciami. Margot Robbie świetnie oddała charakter tej tragicznie zmarłej kobiety. Pamiętam tą aktorkę z nieudanego aerykańskiego serialu „Pan am", gdzie ujęła nie swoją grą aktorską. Miło jest obserwować na ekranie jej rozwój.

Uważam, że Tarantino jest twórcą bardzo wszechstronnym i podobało mi się w jakim kierunku poprowadził tą opowieść. Choć moim ulubionym jego filmem pozostanie „Django", to i chętnie wrócę do „Pewnego razu w Hollywood."

**ODP:**

Pani Katarzyno,

Cieszę się, że film się Pani podobał. Twórczość Tarantino, choć ma mnóstwo powtarzających się elementów, jest bardzo różnorodna, można powiedzieć, że każdy znajdzie w niej coś dla siebie. Osobiście mój pierwszy kontakt z jego kinem był bardzo klasyczny, bo zacząłem od kultowego już „Pulp Fiction”, które nadal po dziś dzień jest moim ulubionym filmem w ogóle, jednak wspomniany przez panią „Django” znajduje się u mnie również bardzo wysoko na liście. Oglądając po raz pierwszy, byłem wręcz oczarowany nie tylko ciekawa historią i aktorskimi popisami, ale też igraniem z typowymi dla westernu motywami. Był to też jeden z pierwszych filmów, w których doceniłem umiejętności Leonadro DiCaprio – przez długi czas podchodziłem do tego aktora jak pies do jeża, jak to Pani ujęła, uważałem go za przereklamowanego. Czas pokazał, że niepotrzebnie się wzbraniałem, bo to naprawdę świetny aktor.

Jeśli chodzi o „Pewnego razu…w Hollywood”, to choć na pierwszy rzut oka przez większość seansu może nie jest aż tak atrakcyjny dla fanów dynamicznego kina jak poprzednie filmy, tak nie da się zaprzeczyć, że brak wartkiej akcji nadrabia świetnymi dialogami czy scenami, które zapamiętamy na długo. Dobrym przykładem jest właśnie scena wybuchu Ricka, o której Pani wspomniała – nakręcona w całości w jednym ujęciu, w całości skupiona na postaci, na jej przeżyciach, rozterkach, na tym, jak nie radzi sobie z problemami. Można powiedzieć, że ta jedna, krótka bądź co bądź scena, mówi więcej o bohaterze, niż niejeden pełnometrażowy film. Osobiście do grona najlepszych scen filmu dodałbym na pewno również sceny rozgrywające się na planie filmowym, szczególnie moment, gdy bohater Leonardo DiCaprio ma okazję porozmawiać z również grającą w jego filmie dziewczynką. W filmach dziecięcy aktorzy często stanowią dla reżyserów niemałe wyzwanie, nieraz zdarza się, że filmowe dzieci wypadają na tle innych aktorow dość nienaturalnie, jednak w tym przypadku wcielająca się w rolę młodej aktorki Julia Butters odegrała swoją postać znakomicie, a jej interakcje z Rickiem Daltonem stanowią kawał niezłego kina.

„Pewnego razu…w Hollywood” to tak jak Pani wspomniała, jeden wielki hołd dla kina lat 60-tych i Ameryki tamtego okresu. W jednej z recenzji filmu przeczytałem zdanie, które brzmiało mniej więcej tak: „Miłośnicy klasycznego kina będą zachwyceni, a ci, którzy do tej pory nie interesowali się kinematografią tamtego okresu, teraz mogą poczuć się zachęceni do sprawdzenia jej”. Jak dla mnie to bardzo trafne podsumowanie. Z perspektywy czasu wydaje się to całkiem zabawne, jednak na długo przed premierą filmu narosło wokół niego trochę kontrowersji. W różnych portalach można było przeczytać nagłówki w stylu „Quentin Tarantino nakręci film o zabójstwie żony Polańskiego” co, znając zamiłowanie reżysera do krwawych scen akcji, faktycznie mogło budzić u niektórych obawy, czy to etyczne z jego strony. Ostatecznie jednak widzimy, że Tarantino wybrnął z tego problemu bardzo sprawnie i przedstawił wydarzenie z należytym szacunkiem. Ba, zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że ingerując w bieg historii i dając Sharon Tate niejako drugie życie, Tarantino składa jej tym filmem specyficzny hołd.

Cieszę się, że film przypadł Pani do gustu i zachęcił do dyskusji. Dziękuję również za zaproponowanie filmu „Mój tydzień z Marilyn”. Na pewno go nadrobię. Dziękuję za udział w dyskusji i ciekawe spostrzeżenia. Pozdrawiam serdecznie.

Jakub Kraszewski

**2020-11-12 18:41 | Andrzej L. (poczta DE FACTO)**

Witam!  
W załączeniu przesyłam swoje przemyślenia na temat filmu Quentina Tarantino.  
Pozdrawiam.  
Andrzej Liczmonik

Szczerze przyznam, że nie bardzo „kręcą” mnie filmy autotematyczne i w ogóle cała filmologia. Obrazy kinowe oglądam głównie dla ich treści i zawartego przesłania, a nie po to, żeby zachwycać się kunsztem reżyserskim czy aktorskim. Tak samo w literaturze cenię sobie bardziej to, „co autor chciał powiedzieć” niż to, „jak to powiedział”. Kilka filmów o świecie filmowców z pewnością widziałem, ale nie mogę przypomnieć sobie teraz żadnego tytułu ani żadnego twórcy, bo po prostu nie zapisało się to w mojej pamięci. Tak samo nie pałam miłością do „klasycznego kina hollywoodzkiego”, któremu składa hołd Tarantino w prezentowanym nam obecnie przez IKFON obrazie. Kino to produkowało przede wszystkim mnóstwo westernów o fabule przewidywalnej do bólu, tak do siebie podobne, że do ich nakręcenia wystarczyła jedna makieta miasteczka z Dzikiego Zachodu, co zresztą widać wyraźnie w „Pewnego razu…”. Oprócz tego ckliwe, melodramatyczne musicale i wielkie eposy historyczne, czyli wszystko, co pozwalało raczej uciec od rzeczywistości niż ją analizować.

Ten film oglądałem z zaciekawieniem, gdyż od początku byłem przekonany, że jest to opowieść o kulisach zbrodni popełnionej wiele lat temu w willi Romana Polańskiego. Pamiętam, jak oboje z siostrą pasjonowaliśmy się prasowymi doniesieniami z procesu Mansona i jego grupy, chociaż ja miałem wtedy dziesięć lat, a siostra trzynaście i niewiele z tego wszystkiego rozumieliśmy. Traktowałem więc go jako swoistą podróż w czasie do własnego dzieciństwa. Tym bardziej zaskoczyła mnie końcówka, w której hippisi napadają nie na willę Polańskiego, lecz na sąsiednią i nie popełniają zbrodni, lecz sami padają ofiarą przypominającego sobie swoje wojenne i westernowe role aktora oraz jego wiernego psa i równie wiernego dublera.

Można by w tym miejscu pokusić się o refleksje w stylu „co by było, gdyby…”, gdyby rzeczywiście Sharon Tate wtedy przeżyła. Może Polański nie popełniłby kilka lat później czynu, za który do dziś ściga go amerykański wymiar sprawiedliwości? Takie zabawy z historią są bardzo ciekawe i mogą stać się początkiem kreślenia różnych scenariuszy (również filmowych) na temat przyszłości. Dlatego sądzę, że warto było ten film obejrzeć.

Pozdrawiam.

**ODP:**

Panie Andrzeju,

Dziękuję za ciekawą opinię. Miło mi słyszeć, że film Pana zaciekawił, mimo iż na pierwszy rzut oka to nie do końca Pana ulubiona tematyka. Fakt faktem, gdyby Tarantino oparł film jedynie o wątek tworzenia kolejnej hollywoodzkiej produkcji, na dłuższą metę mogłoby być to nużące dla widza. Co do kina lat 60-tych, o ile faktycznie królowały wówczas westerny, o tyle warto pamiętać, że powstało wówczas również wiele dobrych filmów reprezentujących inne gatunki – choćby „Psychoza” Alfreda Hitchcocka, „Doktor Strangelove” Stanleya Kubricka czy „Dziecko Rosemary” w reżyserii Romana Polańskiego (co ładnie łączy się z tematem omawianego przez nas filmu). Jeśli chciałby Pan spróbować czegoś interesującego z tamtego okresu, od siebie mogę polecić na pewno owe trzy pozycje.

Co do „Pewnego razu… w Hollywood” to faktycznie, najbardziej przyciągający uwagę widzów (nawet na długo przed premierą filmu) okazał się wątek ekipy Mansona, choć wątek ten nie zajmuje w filmie aż tak dużo miejsca i czasu. Sam również początkowo myślałem, że reżyser skupi się głównie na Mansonie i zabójstwie Sharon Tate, ostatecznie jednak muszę przyznać, że jestem zadowolony z tego, jak te wydarzenia zostały umiejscowione w fabule. Tym bardziej musi być to ciekawe z perspektywy osoby, która pamięta te rzeczywiste zdarzenie.

A co do zmienionego zakończenia względem faktycznej historii – zabawy i rozważania w stylu „co by było gdyby…” często są, jak Pan słusznie przyznał, ciekawe, pozwalają przemyśleć dane tematy od nieco innej strony, pospekulować, jak historia mogłaby się potoczyć. Tarantino w swoim filmie podszedł do tego drażliwego bądź co bądź tematu z, moim zdaniem, odpowiednim wyczuciem i szacunkiem. Wbrew temu, czego obawiali się niektórzy przed premierą filmu, nie doświadczymy tu epatowania przemocą i rozlewu krwi w willi Polańskiego. Zamiast tego dostajemy alternatywną historię, taką, jaką reżyser i wielu innych ludzi wolałoby pamiętać jako prawdziwą. Jeśli lubi Pan takie zabawy z historią, a nie widział Pan „Bękartów wojny” Tarantino, to również gorąco polecam zapoznać się i z tym filmem.

Dziękuję za udział w dyskusji i ciekawe przemyślenia. Pozdrawiam serdecznie.

Jakub Kraszewski

**2020-11-14 09:43 | Andrzej L. (poczta DE FACTO)**

Witam ponownie.

Dziękuję za odpowiedź na moje refleksje. Nie przeczę, a nawet uważam to za oczywiste, że w każdym okresie historii kina i w każdej krajowej kinematografii powstawały filmy wybitne i byle jakie. Jednak pamiętam jak w latach siedemdziesiątych funkcjonował zlepek słowny "film typowo hollywoodzki", co oznaczało mniej więcej tyle, co "kompletna kasowa szmira" i nie było, rzecz jasna, prawdziwe w odniesieniu do całej produkcji tego wielkiego zagłębia przemysłu filmowego, ale, jak każdy stereotyp, miało swoje mocne podstawy w rzeczywistości.  
"Bękarty wojny" widziałem. Bardzo dobry film. Zresztą w "Pewnego razu.... " jest scena bezpośrednio nawiązująca do końcówki tamtego obrazu.

Pozdrawiam.

**2020-11-14 09:43 | Justyna M. (forum)**

Dzień dobry,

Oglądam sobie film i mogę się pośmiać z amerykańskiej kinematografii. Skoro Mamy lata 60. to bandzior musi zostać pokonany bo kodeks Haysa. Bohater filmu ma nazwisko jak trzej bandyci z komiksów o pewnym kowboju (Lucky Luke), a przynajmniej bardzo podobne...  
  
Z polskim kinem, tak prześmiewcza jest chyba komedia "Nic śmiesznego", gdzie tym razem drugi reżyser czyli Adaś Miauczyński (Cezary Pazura) doprowadza do za szybkiego wysadzenia mostu i ułani nie zdążyli na konikach przez ten most przedostać się na drugą stronę. Ponoć cały budżet filmu to było zbudowanie tego mostu.

Wracając jednak do Hollywood, czy oni nadal żyją sprawą Romana Polańskiego?  
Brawa za wstęp do AD za wspomnienie o jakich filmach mowa w trakcie seansu. Trzeba przyznać, że Tarantino miał fajny pomysł z doklejaniem aktora do innych produkcji, tak aby pokazać jakby jego karierę.

Taki zabieg, że postacie z jednego filmu spotykają się z postaciami z innego filmu w tworzonym nowym wideo fani nazywają corssoverami. Fajnie się robi takie rzeczy... - trochę to pracy. Już w filmie "Kto wrobił Królika Rogera?", który też miał takie Tarantinowe wstawki (film animowany, a zarazem film gangsterski) tez były te crossy.

Widać, że Tarantino lubi kino... Ale mi się zrymowało! jak jest dużo strzelania, efektów i kopniaki to wiadomo, że ten reżyser. Niestety jednak Naziści zostali nazwani Faszystami, a to dowodzi nie do końca zrozumieniu historii Europy przez USA. Pan Tarantino... miał kiepski research, czy co?

To jest akurat na minus, a może się czepiam?, Pozdrawiam, Justa

**ODP:**

Pani Justyno,

Fakt, że akcja filmu jest osadzona w latach 60-tych, poza oczywiście byciem wyrazem wielkiej miłości Tarantino do kina tamtego okresu, daje też pole do popisu jeśli chodzi o przeróżne nawiązania, żarciki czy mrugnięcia okiem w stronę widza. Podczas pierwszego seansu cały czas miałem gdzieś z tyłu głowy, że skądś znam nazwisko Dalton… Dopiero potem dotarło do mnie, jak bardzo to było oczywiste :) A i te wspomniane przez Panią crossovery to przecież nie lada gratka dla fanów kina tamtych lat. Takie subtelne nawiązanie na zasadzie „kto wie, ten wie”.  
  
A Tarantino rzeczywiście lubi kino, nawet bardzo, i zawsze daje to po sobie poznać. Między innymi dlatego jego kino jest tak wyjątkowe. A w kwestii mylenia nazistów z faszystami… przyznam uczciwie, że nie wyłapałem tego, ale z drugiej strony oglądałem film już jakiś czas temu. Jeśli faktycznie kolokwialnie mówiąc coś jest na rzeczy, to faktycznie słabo ze strony twórców.  
  
Pozdrawiam serdecznie

Jakub Kraszewski

**2020-11-16 10:14 | Ewa M. (poczta DE FACTO)**

Dzień dobry

Film dokumentalny prezentuje prawdziwych bohaterów i autentyczne wydarzenia. Film fabularny rządzi się zupełnie innymi prawami. Jego treść może być wytworem wyobraźni artysty. Nawet, kiedy bohaterem jest autentyczna postać, to nie jest jego biografią. Znane nazwisko, wydarzenie historyczne dodają jedynie smaczku stworzonej przez scenarzystę opowieści. Na srebrym ekranie wszystkie chwyty są dozwolone.

Wybitny reżyser, jakim jest niewątpliwie Kwentin Tarantino, może modelować fabułę w dowolny sposób łącząc fikcję z rzeczywistością. Fabuła jest kompilacją wydarzeń, spotkań, rozmów, przeczytanej literatury i pomysłu podsuniętego przez venę twórczą. Przekaz czasami jest bardzo wyraźny, innym razem zmusza do poszukiwań, interpretacji na wiele sposobów. Tarantino, w filmie „Pewnego razu w Holliwood", zmieniając bieg historii skłania widza do zastanowienia się, co by było, gdyby...Ja to kupuję bez zastrzeżeń.

W filmie jest kilka scen, które wywarły na mnie duże wrażenie. Wciąż obracam je w myślach interpretując na różne sposoby. Kiedy Cliff Bot przyjeżdża do komuny Dzieci Kwiatów, atmosfera gęstnieje. Obraz staje się demoniczny, jak w horrorze. Burzy to stereotyp otwartości, luzu iniesienia pokoju przez społeczność hippisów.

Zupełnie inne, ciepłe emocje wywarło na mnie spotkanie Ricka z Marabellą w czasie lunchu. Pomyślałam wtedy: uczmy się od dzieci. Ich naturalność, świeżość może rozwiązać najbardziej splątane nici życia dorosłych.

Spodobał mi się pomysł, jak w grze komputerowej, z darowaniem życia Sharon Tate. Jak potoczyłaby się kariera Polańskiego, gdyby Sharon żyła do dzisiaj? Czy Polański współpracowałby z Rickiem Daltonem? To , jak myślę, nie tylko powód do snucia nowej historii, ale materiał na nowy fabularny film.

Dużym zgrzytem tego wielkiego obrazu, wybitnego reżysera, jest audiodeskrypcja. O ile można, z niemałym trudem, znieść nadużywanie zaimków dzierżaczych, to błędy gramatyczne i stylistyczne są zbrodnią . Nie można mówić, że ktoś nas gryzie za nogę lub krocze. Poprawnie mówimy: „ugryzł w nogę", „gryzie w krocze". Audiodeskryptorka „wykopem znokautowała😊brunetkę". Na Boga, osoba niewidoma potrzebuje prostej informacji, kto, kogo i w co kopnął, bo nie może tego zobaczyć. Zęby mnie bolą, kiedy słyczę te łamańce językowe. Audiodeskrypcja powinna w prost sposób podpowiadać, co dzieje się na ekranie, wtapiać się w tło. 6ttakie akrobacje językowe bardziej przeszkadzają, niż pomagają.

Pozdrawiam ciepło

Ewa M.

p.s. coś dzieje się z moim oprogramowaniem Nie czyta całego tekstu. Przepraszam za ewentualne błędy.

**ODP:**

Pani Ewo,

Cieszę się, że, pomimo problemów z audiodeskrypcją, omawiany film przypadł Pani do gustu. Faktycznie, rozmyślanie na temat „co by było, gdyby Sharon Tate przeżyła?” może doprowadzić nas do wielu ciekawych wniosków. Jak mogłoby dalej potoczyć się życie jej i jej męża? Jak rozwinęłyby się ich kariery? Czy późniejszy dorobek filmowy Polańskiego byłby taki sam, jak jest obecnie, czy też może nakręciłby inne filmy? Tak podejrzewałem, że przynajmniej części z uczestników dyskusji takie tworzenie alternatywnych wersji historii może przypaść do gustu i pobudzić nieco wyobraźnię i jak na razie moje przypuszczenia się potwierdzają 😊

Muszę się z Panią zgodzić w kwestii zapadających w pamięć scen. Szczególnie interakcje Ricka z dziesięcioletnią Marabellą są moim zdaniem godne pochwały. Praca z dziecięcymi aktorami w filmie to nie jest najłatwiejsza rzecz, szczególnie jeśli mają grać w towarzystwie tak doświadczonych gwiazd kina jak Leonardo DiCaprio. Zawsze w takich sytuacjach istnieje jakiś cień obawy, że coś może pójść nie tak. Na szczęście wcielająca się w rolę młodej aktorki Julia Butters wypadła naprawdę dobrze, wiarygodnie. Tak jak Pani napisała, jej wspólne sceny z Rickiem są naprawdę inteligentne, a zarazem ciepłe. Podnoszą na duchu tak widza, jak i bohatera.

A scena odwiedzin Cliffa u hippisów? Kompletnie inny zestaw emocji. Ma się podskórnie przeczucie, że zaraz coś się wydarzy, że narastające napięcie zaraz znajdzie ujście w jakiejś krwawej akcji.

Dziękuję za ciekawe przemyślenia i udział w dyskusji. Pozdrawiam serdecznie

Jakub Kraszewski

**2020-11-16 16:10 | Justyna M. (forum)**

Jeśli chodzi o mylenie Nazistów z Faszystami, to może być to kwestia tłumaczeń i dodawanych dialogów może nawet po skończonym filmie! W zwiastunie do tego filmu na przykład nie było gafy! Może to być potem kwestia montażu. Jednak jeśli dla Amerykanów Nazizm to synonim słowa Faszyzm to nie jest za dobrze.

**2020-11-16 17:50 | Witold G. (poczta DE FACTO)**

Najnowsza propozycja naszego IKFON to film produkcji amerykańsko-brytyjskiej z roku 2019 - Pewnego razu w Hollywood. Reżyserem i twórcą scenariusza jest Quentin Tarantino, znany na całym świecie jako wielki artysta z charakterystycznym autorskim stylem wyróżniającym się wymieszaniem różnych gatunków sztuki filmowej . Dramat, horror, sensacja western ,często i komedia, są w stanie zadowolić każdego, nawet najbardziej wybrednego odbiorcę dzieła filmowego. Tarantino nie szczędzi miłośnikom swych filmów krwawych, pełnych dynamiki walk, napadów i porachunków.

Właśnie takimi składnikami i to występującymi jednocześnie w jednym dziele wyróżnia się film – Pewnego razu w Hollywood. Dzięki takiej konstrukcji, jest on chętnie oglądany przez kinomanów na cały świecie. O popularności filmu może świadczyć nominacja do 10 kategorii oscarowych Przed odtwarzaniem filmu z płyty, zapoznałem się.z wprowadzeniem

wraz z kończącymi je tezami i pytaniami do dyskusji Pomogło mi to w zrozumieniu całego przedsięwzięcia i zamysłu reżyserskiego, pamiętając o tym, że Tarantino jest również scenarzystą i kostiumologiem. Okazało się ,że było to bardzo przydatne, a nawet nieodzowne .Pomogło niewidomemu nadążyć za wielowątkową konstrukcją dzieła oraz budową kolejnych epizodów, scen i obrazów . Ułatwiła t o również bardzo wnikliwa i komunikatywnie przekazana w audiodeskrypcji, odpowiednio ilustrując zmiany i przenikanie się akcji, szczególnie w końcowych fragmentach filmu .Istotne jest podkreślenie, iż film ma zróżnicowaną dynamikę toczących się wydarzeń ,Początkowe fragmenty, szczególnie wspomnienia, nostalgiczne opowieści są powolne .Dotyczy to fragmentów i epizodów nawiązujących do Romana Polańskiego.

Końcowe fragmenty filmu są zupełnie różne od większości dotychczasowych .Są wręcz przerażające, a czasem makabryczne np. podpalona miotaczem ognia kobieta skacząca do basenu. Słysząc odgłosy dynamicznej akcji. wyobrażam sobie reakcję widzących odbiorców filmu zgromadzonych w salach kinowych wyposażonych w nowoczesne urządzenia do projekcji obrazu i odtwarzania dźwięku .Sądzę, że większość wybierających się co kina na głośny film Quentina Tarantino kieruje się chęcią przeżycia emocji, w rozbudzaniu i potęgowaniu których reżyser jest niezrównanym mistrzem. Jak również niedoścignionym mistrzem. w utrwalaniu pamięci o historii tradycji prawdziwie hollywoodzkiego kina

Rolę i odpowiedzialne zadanie łącznika między dawnym ilaty i przybliżania wspomnień powierzył Tarantino grupie zaufanych aktorów, a na ich czele postawił Ricka Daltona, granego przez Leonarda di Caprio oraz przyjaciela głównego bohatera – Cliffa, zarazem swego dublera. Reżyser uczynił tych weteranów hollywoodzkich główną osią swojego dzieła, wokół której rozgrywają się wydarzenia od pierwszych do ostatnich scen ,również sceny retrospekcji

Kończąc moje rozważania pragnę stwierdzić, że film – Pewnego razu w Hollywood, jakkolwiek skomplikowany i trudny w odbiorze dla osoby całkowicie niewidomej zrozumiałem. Wartością tego dzieła, moim zdaniem, jest ponadczasowe przesłanie reżysera do całego świata. Quentin Tarantino mówi nam :

- nienawiść i przemoc ,nawet najbarwniej pokazane, zawsze niszczą drugiego człowieka.

Witold G.

**ODP:**

Panie Witoldzie,

Bardzo ciekawa jest Pańska interpretacja przesłania filmu. Niby to dość uniwersalna prawda, a jednak nie zawsze oczywista. Cieszę się, że film Pana nie rozczarował. Jak sam Pan wspomniał, „Pewnego razu w Hollywood” to dość specyficzny film pod względem dynamiki. Przez znaczną część seansu akcja jest bardzo spokojna, powolna wręcz, co zniechęciło niektórych widzów. Na pierwszy rzut oka, oglądając wybrane fragmenty z początku filmu i z jego zakończenia, możnaby nawet pomyśleć, że to dwa różne filmy. Cieszę się, że mimo to nie odrzuciło to Pana od filmu. Trzeba też przyznać, że aktorzy zostali świetnie dobrani do swoich ról. Jak sam Pan wspomniał, głównymi bohaterami są prawdziwi weterani Hollywood. To samo można powiedzieć o odgrywających ich role aktorach – Leonardo DiCaprio i Bradzie Pitcie. Przez to ich wiarygodność na ekranie jest znacznie większa, niż gdyby w te role mieli wcielić się inni, mniej doświadczeni aktorzy.

W ramach ciekawostki warto wspomnieć, że Tarantino przyznał, iż zostało mu jeszcze cała masa nakręconych scen, które ostatecznie nie znalazły się w filmie, ze względu na jego długość. Reżyser wspomniał, że rozważa wypuszczenie pełnej wersji historii w formie czteroodcinkowego miniserialu (całość miałaby trwać łącznie ponad cztery godziny, więc nic dziwnego, że część scen została wycięta). Kto wie, jeśli takowa rozszerzona edycja miałaby się ukazać, może wtedy dynamika całości nieco się zmieni?

Dziękuję za udział w dyskusji i ciekawe przemyślenia. Pozdrawiam serdecznie.

Jakub Kraszewski

**2020-11-17 18:33 | Danuta Sz. (poczta DE FACTO)**

Pomyślałam sobie;Tarantino... będzie jazda bez trzymanki z finałem w kolorze czerwonym, pomyślałam sobie Tarantino,nic nie będzie takie oczywiste, chociaż wiadomo co będzie.

Pomyślałam film o Polańskim z Polakiem w pewnej roli,super,koniecznie trzeba to obejrzeć.

A tu tymczasem...

Owszem,Tarantino w czystej postaci, a Polańskiego tyle co kot napłakał,może nawet mniej, to Frykowskiego było więcej.Cała treść to nostalgia i powrót do przeszłości,to odcinanie kuponów od dawnej chwały i sławy,to pewna droga która zmierza do soczystego finału,żeby nie powiedzieć krwawego finału, jak to u Tarantino.

...i w tym miejscu przepraszam Pana Moderatora,ale niestety nie podzielam zachwytu nad kinem pana Quentina,bo nawet jeśli każdy film w zamiarach i treści jest inny,to jego konstrukcja i przekaz zawsze taki sam. Można by rzec rozpoznawalność reżysera, pewnie tak. Ale dla mnie raczej identyczność kolejnych pomysłów i brak nowych. To co nie podlega dyskusji, to techniczna strona przedsięwzięcia. Dbałość o szczegóły, bardzo dobra gra aktorska,nawet ta cienka linia która daje poczucie autentyczności przekazu. I gdyby się nie znało żadnego innego filmu Tarantino,to być może każdy kolejny robiłby jakieś wrażenie, a tak to wiadomo co będzie. A to co jest nie musi się podobać każdemu.

Quentin Tarantino powiedział że jego talentu i zaangażowania starczy na 9 filmów.

To jest właśnie film dziewiąty,nasuwa się zatem pytanie,czy ciągle jeszcze jest pewien tego co powiedział,a może spełnił już wszystkie swoje marzenia z dzieciństwa i zakończy czas fajerwerków na rzecz innej stylistyki reżyserskiej.

Ja będę czekała.

Będę czekała, bo nie odmawiam talentu temu reżyserowi, wręcz przeciwnie. Uważam raczej, że ma niezwykły dar w pracy z aktorami i nie powiedział jeszcze ostatniego słowa jako reżyser. Myślę że jak każdy człowiek ewoluuje i się zmienia, a to może być zapowiedź zmian które ucieszą tą drugą część kinomanów.

Pozdrawiam serdecznie

**ODP:**

Pani Danuto,

W dyskusji o filmie, tak jak w każdej innej, głosy krytyczne są równie ważne i potrzebne, jak te pozytywne. Sam jestem zdania, że każda dyskusja będzie ciekawsza, gdy będzie zróżnicowana pod względem opinii. Dlatego, choć oczywiście szkoda, ze omawiany film nie spełnił Pani oczekiwań, cieszę się, że zabrała Pani głos i wypunktowała, co uważa za wady.

Pani opinia jest o tyle ciekawa, że zwraca Pani uwagę na nieco inne elementy, niż większość krytykujących film widzów. Osoby niezadowolone z seansu przeważnie twierdziły, że film jest, kolokwialnie mówiąc, nudny, że nic się w nim nie dzieje, czasem wręcz padało określenie że „nie warto oglądać”. Fajnie, że Pani potrafiła znaleźć w filmie mocne strony, choćby aktorstwo. Z drugiej strony, choć osobiście jestem fanem twórczości Tarantino, to rozumiem, że nie każdemu jego styl może przypaść do gustu, czy że dla kogoś jego kino może wydawać się zbyt schematyczne czy powtarzalne.

Ciekawa jest kwestia, którą Pani poruszyła. Tarantino powiedział kiedyś, że po nakręceniu dziesięciu filmów odejdzie na emeryturę. „Pewnego razu… w Hollywood” jest dziewiątym filmem, więc teoretycznie rzecz biorąc, czeka nas jeszcze tylko jeden film tego reżysera. Osobiście jestem ciekawy, jakie dzieło będzie zamykało jego bogatą filmografię (przez jakiś czas mówiło się, że Tarantino ma wyreżyserować nową wersję „Star Treka”), jednak podoba mi się zaproponowana przez Panią wizja, że zamiast faktycznie odejść na emeryturę mógłby zacząć kręcić filmy w zupełnie innym stylu. Byłaby to na pewno ciekawe rozwiązanie, choć też nie tak niespotykane, w końcu ile już widzieliśmy w świecie filmu czy muzyki „ostatnich razów” wielkich artystów, po których mieli oni kończyć swe kariery, a tak naprawdę okazywało się, że zmienili zdanie? Kto wie, co przyniesie nam przyszłość.

Dziękuję za udział w dyskusji i ciekawe komentarze. Pozdrawiam serdecznie

Jakub Kraszewski

**2020-11-17 21:53 | Maria N. (poczta DE FACTO)**

Dawno, dawno temu, pewnego razu..... tak zwykle zaczyna się opowieść z innego świata, który już przeminął a do którego czasami tęsknimy i chętnie do niego zaglądamy, choćby przez prostokąt ekranu. Tym razem jest to świat lat 60-tych z jego magią kina i nawiązaniem do efemerydy popularnej aktorki. Bohaterowie filmu Rick Dalton i jego kaskader Cliff Booth starają się wrócić do biznesu, z którego wypchnął ich bezlitosny czas i zmieniające się gusta widowni. Jednym z tych, którzy próbują reaktywować Daltona na wielkim ekranie jest producent Marvin Schwarz. Tyle fabuła w zarysie. Bo nie ma w "Pewnego razu..." klasycznej fabuły, są dygresyjne wstawki, reminiscencje rzucające światło na aktualną sytuację bohatera. Cliff mający przed sobą aktorską karierę zostaje z minuty na minutę wyrzucony z planu, ponieważ sprowokowany przez rozkapryszone bożyszcze małolatów Bruce Lee nie daje się znokautować. A Rick nie potrafi w odpowiednim momencie wyłamać się z zaszufladkowania westernowego zabijaki. Nieco nostalgiczna opowieść o dwóch odchodzących w niebyt ludziach sceny. To już zmierzch ery dzikiego zachodu z bohaterami i odpryskami ludzkiej egzystencji, zmierzch przemysłu filmowego, którego szczyt popularności przypadał na przełom lat 50. i 60 gdzie tryumfy święcił John Wayne, Gregory Peck, czy Ricky Nelson. Coraz trudniej zagrać w ambitnym filmie, pozostają jakieś makaronowe westerny w konwencji Lemoniadowego Joe. Ale i tym trudno sprostać gdy alkohol mroczy świadomość i plącze kwestie. A na horyzoncie marzeń zjawia się reżyserskie bożyszcze - Polański i pełna wdzięku Sharon. To do nich będzie należeć przyszłość.

Banda Mansona - dzieci kwiaty, kwiatami nie są „wyzwolone” młodociane dziewczyny wiedzące w którym słoiku są najlepsze konfitury, otumaniony narkotykami właściciel farmy, tchórzliwy bohater od przebijania opon i bełkot, o mordowaniu tych, którzy uczą mordować poprzez ekran. W tym ostatnim stwierdzeniu jest nieco prawdy o kinie przemocy, ale czy jest to legitymacja do morderstwa, Jak na „kwiaty” przystało członkowie bandy na agresję odpowiadają napadem w celu zamordowania. Hasła o miłości i braterstwie, podobnie jak i pacyfki okazują sie być pustymi znakami

Film jest świetny scenariuszowo. Hollywood schyłku lat 60. sfotografowane jest z precyzją. Podczas wizyt na planach zdjęciowych faktycznie ma się wrażenie uczestniczenia w kręceniu filmu, a przejażdżki samochodem po malowniczych ulicach Los Angeles niemal pozwalają odetchnąć kalifornijskim powietrzem i chłonąć atmosferę miasta marzeń. Klimat retro fenomenalnie buduje również osobliwa ścieżka dźwiękowa, którą tworzą wydobywające się z samochodowego radia muzyczne szlagiery i fragmenty audycji.

Nieco rozedrgane, choć przyzwoite tempo opowieści porządkuje fantastyczna gra aktorów. Brad Pitt i Leonardo DiCaprio tworzą znakomity duet. Wyśmienicie prezentuje się Margot Robbie i Al Pacino. Taki zestaw obsady to dodatkowy wabik.

Mam ostatnio szczęście oglądać filmy rozliczeniowe „Ból i blask” i „Pewnego razu w Hollywood” Podobnie jak Almodovaro Tarantino wie, że powoli przemija. Osiągnął wszystko. Najważniejsze nagrody, stałe miejsce w historii kina, uwielbienie ale i nienawiść kinomanów. Czegóż więcej trzeba.

**ODP:**

Pani Mario,

Bardzo się cieszę, że film się Pani spodobał. Bardzo trafne to porównanie tytułu filmu do rozpoczęcia jakiejś opowieści. Rzeczywiście, coś ten film ma w sobie z takiej baśni, idealnej historii, do której z nostalgią wracamy wiele razy, choć znamy ją już dobrze. Gdyby tak o tym pomyśleć, rzeczywistość Hollywood lat 60-tych wydaje się być trochę taką właśnie piękną historią, szczególnie jeśli ma się nostalgiczny stosunek do wychodzących w tamtym okresie filmów. Tarantino ewidentnie ma taki nostalgiczny stosunek do tamtej rzeczywistości, dobitnie to pokazuje tym filmem. „Pewnego razu… w Hollywood” to bowiem piękna laurka, list miłosny w stronę nie tylko kina klasycznego Hollywood, ale i po części do widzów, tak jak on sam zakochanych w tamtym okresie.

Pisze Pani, że film ma doskonałą obsadę. Oczywiście zgadzam się z tym stwierdzeniem w zupełności. Co więcej, warto zauważyć, że Tarantino przy obsadzaniu głównych ról dokonał ciekawych wyborów nie tylko ze względu na umiejętności obu aktorów – zarówno Leonardo DiCaprio jak i Brad Pitt to prawdzii weterani kina, którzy niegdyś występowali niemalże w co drugim filmie. To zupełnie tak, jak odgrywani przez nich bohaterowie. Rick Dalton i Cliff Booth to przecież w świecie filmu prawdziwe legendy, obecnie grające już w filmach raczej sporadycznie, jednak nadal odznaczające się wielkim talentem. Moim zdaniem, tych ról nie można było lepiej obsadzić!

Wspomnianego przez Panią „Bólu i blasku” jeszcze nie widziałem, ale „Pewnego razu…w Hollywood” to faktycznie swego rodzaju film rozliczenie. Osobiście po seansie trochę dziwiłem się, że Tarantino nakręcił go teraz, a nie jako swój dziesiąty, zapowiadany jako ostatni w karierze film, bo osobiście uważam, że ten film nadawałby się idealnie na podsumowanie całej bogatej kariery tego reżysera. Kto wie w takim razie, co Tarantino zaplanował dla nas jako swój faktycznie pożegnalny film? Choć dla mnie i zapewne wielu innych kinomanów oczywiście najlepiej by było, gdyby nigdy nie zakończył swej kariery i regularnie dostarczał nam kolejne arcydzieła, choć wiadomo, że to wizja niemożliwa do zrealizowania… Ale pomarzyć zawsze można 😊

Dziękuję za ciekawy wkład w dyskusję. Pozdrawiam serdecznie

Jakub Kraszewski

**2020-11-18 12:07 | Magdalena D. (forum)**

Witam Forum,

Witam Panie Jakubie,

bardzo, ale to bardzo byłam ciekawa tej nowej produkcji Quentina Tarantino. Bo akurat lubię jego filmy i nie odstraszają mnie przejaskrawione, krwawe jatki. Lubie zaś te swoiste modyfikacje, pszekształcanie rzeczywistości, a najbardziej lubię dialogi i parodiowanie gatunków uprawiane przez reżysera.

Głośno było o tym najnowszym filmie, a przy tej okazji w moim mieście jeszcze głośniej o grającym Romana Polańskiego- Rafale Zawierucha. I choć za wiele kwestii on nie wypowiada, właściwie to jedna dobitna z przekleństwem na tarasie i krótkie 'hi' w aucie, to sporo go widać i prezentuje się ponoć bliźniaczo. Z resztą pewnie większość gdzieś wpadła na jakiś wywiad lub program z Rafałem Zawieruchą po powrocie ze Stanów, więc ma świadomość i wiedzę o amerykańskiej przygodzie Polaka/Kielczanina.

Po seansie "Pewnego razu..." widzę, że reżyser jest wierny swoim rozpoznawalnym cechom (mistrzostwo dialogów, dłuuugie ujęcia),ale i mnóstwo nawiązań do autentycznych postaci świata kina, co dla koneserów i wielbicieli jest zapewne smacznym kąskiem do rozgryzania i dyskutowania  
Ale zwróciłam uwagę na jeszcze jedną rzecz. To już trzeci film, w którym pojawia się wątek niewidomego. Tu akurat postać właściciela rancza, niewidomego George'a. Jest zdaje się zbudowana na autentycznej postaci, właściciela rancza, na którym mieszkała sekta czy rodzina Mansona.  
Z "Pulp Fiction" pamiętam zaś scenę, jak w aucie Travolta opowiada Saumelowi L. Jacksonowi film o gliniarzach, w którym podczas strzelaniny jeden z policjantów traci cały magazynek nabojów i nie trafia w zbira, na co ten mu odpowiada coś w stylu: "jak chcesz udawać niewidomego to sobie kup wilczóra, ja mam oczy szeroko otwarte' a wtedy Travolta przypadkiem strzela w twarz siedzącemu z tyłu kolesiowi, i zwala winę na kierowcę, że to ten wjechał na wybój.

W "Nienawistnej Ósemce" jest zaś tekst mniej więcej taki, że 'nie nabrałby się na to ślepy szaman", ale dokładnie nie pamiętam sceny i nie jestem pewna czy to nie było czasem powiedziane przez Kurta Russella jak oglądał podrobiony list.

Seans zleciał, nie zawiodłam się, parodia baśni trafiła w mój gust. Życzyłabym sobie, żeby kolejny film Tarantino nakręcił w krótszym odstępie czasu.

Pozdrawiam  
  
P.S.  
Dzięki Justa za wzmiankę o crossoverach, :) Muszę sobie zapamiętać :)

**ODP:**

Pani Magdaleno,

Cieszę się, że film się Pani podobał! Co do roli Rafała Zawieruchy jako Romana Polańskiego, to jest to w niektórych kręgach, delikatnie mówiąc, dość wrażliwa kwestia. Sporo osób przed premierą nastawiło się, że Polański w tym filmie odegra jakąś znaczącą rolę, więc poniekąd rozumiem, że część widzów była rozczarowana tak znikomym jego udziałem. Jak Pani zauważyła, zaledwie jedna, góra dwie kwestie w filmie, jego postać jest bardziej elementem tła dla granej przez Margot Robbie Sharon Tate, niż faktycznym bohaterem historii. Ale z drugiej strony – co tu się dziwić, skoro to nie był i nigdy nie miał być film o nim? Wśród polskich widzów nadmierne oczekiwania rozbudzały głównie medialne doniesienia na temat produkcji, często nieco podkoloryzowane – w końcu przecież nagłówki w stylu „Polski aktor u boku Tarantino” brzmią bardzo atrakcyjnie.

Z jeszcze innej strony patrząc, całe to okołofilmowe zamieszanie wyszło na dobre samemu aktorowi. Rafał Zawierucha wcześniej nie był szczególnie rozpoznawalnym aktorem w skali całego kraju, mogę się mylić, bo osobiście przed „Pewnego razu… w Hollywood” nie kojarzyłem w ogóle jego nazwiska, jednak po szybkim sprawdzeniu informacji w bazie Filmwebu dochodzę do wniosku, że wcześniej grywał głównie epizodycznie lub w pobocznych rolach. Te ekranowe nawet nie pięć minut u znanego hollywoodzkiego reżysera na pewno pomogły zwiększyć jego rozpoznawalność, zresztą w samym tylko tym roku jego nazwisko można było znaleźć na plakatach co najmniej dwóch polskich filmów (czy były to filmy dobre to zupełnie inna kwestia, nie widziałem, więc ciężko mi ocenić…). Także jak to się mówi, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Myślę, że ten aktor ma jeszcze szansę nie raz zabłysnąć na ekranie i miejmy nadzieję, że nie raz nas zaskoczy.  
  
A odnośnie jeszcze samego filmu, ma Pani rację - niewidomy właściciel rancza to George Spahn, postać autentyczna. Mężczyzna udostępniał swoje ranczo filmowcom, którzy kręcili w tym miejscu westerny (nie jestem pewny, czy ten szczegół pada w filmie). Natomiast później, jak słusznie Pani zauważyła, na jego farmie pomieszkiwała również banda Mansona. W filmie w tego bohatera wcielił się aktor Bruce Dern.

Pozdrawiam  
  
Jakub Kraszewski

**2020-11-18 18:41 | Hanna W. (poczta DE FACTO)**

„Pewnego razu w Hollywood" to pierwszy film w reżyserii Tarantino, jaki obejrzałam. Tytuły tego reżysera, wymienione przez Pana Jakuba Kraszewskiego, są mi znane, ale tylko ze słyszenia. Nie mogę zatem dokonywać jakichkolwiek porównań.

Jak tylko w filmie pojawiła się scena z Sharon Tate i Romanem Polańskim, to u mnie pojawiło się oczekiwanie, że film opowie o ich tragedii, tj. o napadzie na ich dom i śmierci zebranych tam osób. Myślę, że ta historia jest powszechnie znana. Reżyser w tym kierunku poprowadził akcję, aby widz spodziewał się takiego właśnie zakończenia. I u mnie taki efekt wywołał, czemu towarzyszyło duże napięcie.

Tymczasem napad był, ale na dom sąsiadów i dla nich nie okazał się aż tak

Tragiczny. Przyznaję, że z tego powodu zakończenie filmu mnie zaskoczyło, ale.i uradowało, bo Rick i Cliff ocaleli. Sceny napadu jednak makabryczne. Jako osoba niewidoma, ale kiedyś widząca, mogłam wyobrazić sobie śmierć hipisów, zwłaszcza płonących dziewczyn. Skóra ścierpła.

Do scen z napadem film wydał mi się nużący, a to z powodu zbyt rozleniwionej akcji i długości filmu. Ale w ten sposób reżyser pokazał życie w Hollywood, życie wokół biznesu filmowego z różnych stron. Mamy pokazaną m.in. pracę na planie, mamy  problemy aktora, którego kariera wygasa. Mamy też kawałek życia dublera, jak również życie towarzyskie wielkich twórców filmowego świata. Mamy skromniutką przyczepę dublera, a za chwilę piękną willę gwiazdy. A obok mamy hipisów,prowadzących beztroskie, ale i pasożytnicze życie. Znamienne są słowa wypowiedziane przez nich w chwili maszerowania na napad - mówiąc, że wychowali się na filmach o zabijaniu

Ludzi, więc teraz tym samym narzędziem mogą się posłużyć. I ta ich „filozofia" jest bardzo przygnębiająca, bo jest przewrotnym  uzasadnieniem ich czynu.

W pewnych wątkach ten film skojarzył mi się z innym, odsłaniającym kulisy świata filmowego. Myślę tu o filmie muzycznym pt. „La La Land" z 2016 r. Pokazano w nim, jak wielka chęć zrobienia aktorskiej kariery zwycięża nad miłością.

Serdecznie pozdrawiam

**ODP:**

Pani Hanno,

Jeśli do tej pory nie miała Pani styczności z twórczością Tarantino, to zdecydowanie zachęcam do zapoznania się z jego poprzednimi dziełami. To reżyser bardzo charakterystyczny, z ciężkim do podrobienia stylem, zamiłowaniem do dynamicznej akcji i wielkim talentem do pisania błyskotliwych dialogów. To jeden z niewielu reżyserów, których znam, który potrafi napisać długą (bo niemal dziesięciominutową) scenę opierającą się jedynie na rozmowie dwójki bohaterów na zupełnie błahe tematy, która jednocześnie będzie dla widza bardzo ciągająca i interesująca. Zdecydowanie polecam.

Jednocześnie warto zaznaczyć, że „Pewnego razu… w Hollywood” to film, który na tle reszty filmografii Tarantino bardzo się wyróżnia. Przyznała Pani, że film jest długi i przez większą część – dość powolny. To właśnie dość wyjątkowe, jeśli brać pod uwagę poprzednie filmy tego reżysera, bo dotychczas nie nakręcił on filmu z tak nierównym tempem akcji. Z tego też powodu część widzów zniechęciła się i oceniła film krytycznie. Sam byłem zaskoczony przy pierwszym seansie, bo tak powolne snucie opowieści to nie było coś, czego się spodziewałem, jednak osobiście szybko dałem się wciągnąć w historię dwójki niegdyś wielkich aktorów i ich otoczenia.

Porównanie do „La La Land”, choć na pierwszy rzut oka nieoczywiste, uważam za bardzo trafne. W obu filmach świat artystów jest ukazany jako coś idealnego, do czego się dąży, co bardzo chcą osiągnąć bohaterowie, w obu filmach mamy niejako możliwość przyjrzenia się światowi filmowemu z bliska, zza kulis. Oba filmy wreszcie uważam za swego rodzaju listy miłosne ich twórców do kina – w przypadku Tarantino do kina klasycznego Hollywood, w przypadku „La La Land” – w stronę oczywiście klasycznego filmowego musicalu.

W kwestii samego zakończenia filmu, to wywołuje ono spore zaskoczenie. Większość widzów raczej spodziewała się zobaczyć napad bandy Mansona na willę Polańskiego, co swoją drogą na długo przed premierą filmu wywołało kontrowersje i pytania, czy etycznym jest robienie filmu na ten temat. No właśnie… „na ten temat” to kluczowe stwierdzenie. Sporą krzywdę zrobiło temu filmowi powielanie przed premierą informacji, że „Tarantino nakręci film o śmierci Sharon Tate”, bo zdecydowanie nie jest to film o tym. Szczególnie niektórzy polscy widzowie poczuli się rozczarowani znikomą rolą postaci Polańskiego. Tu jednak ponownie doszukiwałbym się winy szczególnie polskich serwisów newsowych, które rozpalały u widzów ciekawość informacjami o polskim aktorze grającym u Tarantino. Osobiście nie widzę w tym większego problemu, bo na dobrą sprawę nie jest to film o Polańskim, jednak jestem w stanie zrozumieć rozczarowanie niektórych widzów.

Dziękuję za Pani wkład w dyskusję i ciekawe przemyślenia. Pozdrawiam serdecznie

Jakub Kraszewski

**2020-11-19 21:20 | Hanna W. (poczta DE FACTO)**

Panie Jakubie,  
  
to ja dziękuję za dodatkowe informacje, bardzo ciekawe. Poszukam w internecie innych filmów Tarantino, choć pewno bez audiodeskrypcji.  Miałam możliwość obejrzenia kilku filmów bez, a potem z audiodeskrypcją. Różnica w odbiorze jest ogromna.

Serdecznie pozdrawiam

**21-11-2020 15:27 | Zbigniew N. (poczta DE FACTO)**

„Pewnego razu w Hollywood” to w moim odczuciu film, który można określić mianem „reaktywacja”. Dwóch starszych panów L. DiCaprio i B. Pitt powraca do nas odświeżonych cyfrowo w wersji z przed około 50 lat Temu nostalgicznemu zabiegowi towarzyszy retrospekcja z ich najważniejszych dokonań z okresu aktorskiej świetności. Podlane to zostało smakowitym sosem różnego rodzaju anegdot, obrazami z za kulis dawnymi plenerami i atmosferą czasów ich młodości.

Obraz ten można określić również jako swoiste filmowe fantasy. Pokazano co mogłoby się zdarzyć, gdyby banda Mansona nie trafiła do posiadłości Polańskiego i jego ciężarnej żony, lecz obok do posiadłości zamieszkałej przez dwóch filmowych twardzieli. Parafrazując Waligórskiego z członków bandy zostałyby „skwarki i bamboszki” Obserwujemy to wszystko zachwycając się pejzażem „Miasta Aniołów”.

Podsumowując, nawiążę do jednego z wierszy C.K. Norwida

„Pod latyńskich żagli cieniem,

myśli moja płyń z aniołem,

płyń, jak kiedyś ja płynąłem,

za wspomnieniem płyń wspomnienie.”

Bardzo dobrze oceniam AD.

**ODP:**

Panie Zbigniewie,

Cieszę się, że film przypadł Panu do gustu. Faktycznie, „reaktywacja” to całkiem trafne określenie dla tego filmu, można je odnieść do kilku elementów opowieści. Przede wszystkim, jak Pan zauważył, do pary głównych bohaterów. Dwójka starzejących się pomału aktorów po latach nieobecności wraca do Hollywood, mając nadzieję na ponowne rozkręcenie kariery. Tu warto dodać, że dobór aktorów był perfekcyjny – co prawda panowie DiCaprio i Pitt emerytowanymi aktorami jeszcze nie są (i raczej nie zostaną nimi w ciągu najbliższych kilku lat), ale obaj mają na swoich kontach całą masę zapamiętanych ról w wielu filmach. Obaj swego czasu byli jednymi z najpopularniejszych aktorów hollywoodzkich – widać tu więc pewne podobieństwa do postaci, w które się w filmie wcielają.

Reaktywacją można określić też sam pomysł na umiejscowienie akcji w Hollywood lat 60-tych, bo taki zabieg siłą rzeczy musi nieść za sobą pewne odniesienia do tamtej epoki, nawiązania dla fanów ówczesnego kina, czy to w postaci przewijających się autentycznych obrazów filmowych, czy wręcz historycznych postaci. Jest tego w filmie całkiem sporo, czego można się było spodziewać, bo taki reżyser jak Quentin Tarantino, będący wielkim miłośnikiem kina, nie mógłby sobie pozwolić na nieodwoływanie się do tamtego okresu poprzez te właśnie elementy.

Wreszcie, swoistą reaktywacją jest też sam zabieg zmienienia przez reżysera prawdziwej historii i niejako napisanie jej na nowo. Ciekawe może być spojrzenie na historię świata pod tym kątem – jak zmieniłaby się nasza rzeczywistość, gdyby faktycznie ekipa Mansona trafiła nie na Sharon Tate, a na dwójkę przygotowanych do walki aktorów? Zostałyby „skwarki i bamboszki”, a pewnie i mniej.

Dziękuję za udział w dyskusji i ciekawe przemyślenia. Pozdrawiam serdecznie.

Jakub Kraszewski

**21-11-2020 18:06 | Ireneusz K. (poczta DE FACTO)**

To kolejne udane spotkanie z twórczością reżysera. Pierwszym filmem, który oglądałem, był obraz zatytułowany „Diango”. Już wtedy przekonałem się o geniuszu twórcy. Tym razem zaskoczył mnie całkowicie. Tym filmem udowodnił, że potrafi budować zupełnie różne klimaty i balansować między nostalgią i dramatem. Tarantino z powodzeniem majstruje przy historycznej chronologii i z rozrzewnieniem wspomina dawną stolicę amerykańskiego i światowego kina. Tęskny motyw przypomniał mi niedawno oglądanm „Bóli blask” w reżyserii Pedro Almodovera Podobnie jak we wspomnianym „Diango”, jedną z głównych ról, powierzył Leowardo Di Caprio. To także mój, ulubieniec. Doborową obsadę, filmu dopełniają rewelacyjne kreacje , które stworzyli Brad Pit i Margot Moją sympatię, Tarantino, pogłębił tematem w tle. Wspominając Romana Polańskiego, reżyser , składa ukłon w kierunku polskiego kina i zarazem w kierunku kolejnego, wybitnego przedstawiciela dziesiątej muzy.

**ODP:**

Panie Ireneuszu,

Cieszę się bardzo, że film się Panu spodobał. Tarantino tym filmem zaskoczył wiele osób, bo do tej pory był raczej kojarzony głównie z dynamicznym kinem, takim, w którym „dużo się dzieje”. Natomiast „Pewnego razu… w Hollywood” jest dużo bardziej stonowany i nostalgiczny niż takie „Pulp Fiction” czy wspomniany przez Pana „Django”. Nie wszystkim widzom taka nagła zmiana dynamiki przypadła do gustu – cieszy mnie jednak, że Pan był usatysfakcjonowany.

Leonardo DiCaprio, jak Pan wspomniał, współpracował już wcześniej z Tarantino przy okazji „Django”. Podobnie Brad Pitt, który grał jedną z głównych ról w „Bękartach wojny” tego reżysera. Ten film, podobnie jak „Pewnego razu…w Hollywood”, bawi się realiami historycznymi, zmieniając pewne faktyczne wydarzenia i niejako pisząc historię na nowo. Jeśli nie miał Pan okazji się zapoznać z tym filmem – serdecznie polecam.

Co ciekawe, jest Pan chyba trzecią już osobą, która w ramach dyskusji porównuje film do „Bólu i blasku” Almodovara. Wstyd się przyznać, ale nie widziałem jeszcze tego filmu. Ale teraz chyba go nadrobię 😊

Dziękuję za udział w dyskusji i ciekawe przemyślenia. Pozdrawiam serdecznie.

Jakub Kraszewski

**22-11-2020 14:24 | Halina L. (poczta DE FACTO)**

W związku z bardzo słabym widzeniem bardzo dawno nie oglądałam filmów zagranicznych gdyż nie operuję językami obcymi  w sposób umożliwiających uczestniczenie w seansach na sali kinowej. Staram się oglądać filmy produkcji polskiej dostępne w ,czwartki, ramach klultury dostępnej..Filmem,,Pewnego razu w ollwood,, zainteresowałam się ze względu na 1. ardiodyskrypbję 2. wątek polski

dot. morderstwa w willi Romana Polańskiego. Przedmiotowy film ,,Pewnego razu...

znanego reżysera T arantino  zapewne arcydziełem nie jest. Odebrałam go jako spis treści działalności filmowej twórcy. Natomiast  bohater   oglądanego filmu

przedstawia tzw ,,zaszufladkowanie,, aktora  jako specjalistę do filmów kowbojskich. ak jest w każdym zawodzie gdy człowiek nie stara się rozwijać w innych kierunkach nie myśli że się zestarzeje lub ,,wyjdzie z mody” podobała mi się rola kaskadera bo on ma bardziej otwartą głowę    i chyba jest pogodzony z mijającym czasem..Zakończenie filmu ,,mordem,, jest  dla mnie niezrozumiałe co przez to reżyser chciał powiedzieć, czy- przedstawienie, że mogą się pojawić mordercy dla zaistnienia w świadomości beztroskich celebrytów, czy wymienienie z prawdziwych nazwisk ludzi, którzy zostali faktycznie zamordowani  to hołd ich pamięci czy wabik aby przyciągnąć widza.

**ODP:**

Pani Halino,

Jeśli chodzi o zakończenie filmu i zmianę w stosunku do prawdziwych wydarzeń historycznych, osobiście odebrałem to jako swego rodzaju hołd pamięci ofiar masakry dokonanej przez bandę Mansona. Tak jak cały film jest hołdem reżysera dla kina lat 60-tych, tak darowanie życia Sharon Tate i skazanie na śmierć napastników wydaje się być wyrazem tego, jak pewnie wszyscy chcielibyśmy, by ta historia się zakończyła. Tarantino wie, że nie da się cofnąć czasu i zapobiec temu morderstwu, więc chciał zrobić przynajmniej tyle – darować Sharon niejako drugie życie w ramach wykreowanego przez siebie świata. Tak ja to odbieram, natomiast rozumiem, że nie każdemu do gustu mogą przypaść takie zabawy z historią.

Wątek podstarzałego aktora Ricka Daltona, granego w filmie przez Leonardo DiCaprio, faktycznie pokazuje problemy wynikające z zaszufladkowania się, w tym przypadku w jednej konkretnej roli, odgrywanej po wielokroć. Rick, niegdyś u szczytu popularności, obecnie będący dogasającą gwiazdą, ma kompleksy z powodu swojej sytuacji i przemijającej nieubłaganie świetności, z tego też powodu popada w alkoholizm. Natomiast tak jak Pani słusznie zauważyła, zawsze mógł przecież spróbować roli w innego rodzaju kinie. Znane są przecież przypadki aktorów, kojarzonych stereotypowo z jedną rolą, którzy po wielu latach grania w niemal identycznych produkcjach, nagle decydują się zmienić kurs o 180 stopni i zagrać w kompletnie innym rodzaju kina – nierzadko taki powiew świeżości wychodzi im na dobre. Zgodzę się też z Panią, że odgrywany przez Brada Pitta kaskader Cliff jest dużo ciekawszą postacią, zdecydowanie bardziej przyziemną, stanowi niejako kontrast dla rozpaczającego nad swoim losem Ricka. Cliff wydaje się być szczęśliwszy, myślący bardziej optymistycznie – wie, że może ułożyć sobie życie od nowa.

Dziękuję za udział w dyskusji i podzielenie się swoimi przemyśleniami na temat filmu. Pozdrawiam serdecznie.

Jakub Kraszewski

**22-11-2020 15:46 | Wiesław T. (poczta DE FACTO)**

Witam!

Nie lubię, gdy reżyser, nawet taki jak Tarantino pisze historię według swojego uznania. Przez co powstają przekręty i słyszymy: „no przecież tak było w filmie". Był nawet czas, na szczęście miniony, gdy w naszych szkołach uczono historii zgodnej z ustrojem, a dzięki rodzicom lub dziadkom dowiadywaliśmy się jak było faktycznie.

Tarantino kojarzy mi się z innym gatunkiem kina. A tym razem co mamy? Poboczny wątek z Polańskim, i sporo obrazków O aktorze i jego dublerze, o ubóstwie i grupach społecznych, o kastach i mordercach... o wszystkim i o niczym. Ten film Tarantino jest dosłownym miszmaszem wątków, które w bardzo luźny sposób się ze sobą łączą, niekiedy wcale. Nie byłoby to dla mnie problematyczne, gdyby nie to, że brak klamry wątków bądź zbyt szeroka owa klamra powoduje, że wycięcie dwóch godzin filmu nie spowodowałoby zbyt wielkiego uszczerbku na mojej niepochlebnej opinii o tej produkcji. Wprawdzie przyjemne, niekiedy luźne postaci np. Bruce Lee wprowadzone przez Tarantino dają powiew świeżości w tym, do czego nas przyzwyczaił, nadal jednak nie rekompensuje to zwiedzenia na manowce widzów czekających na rozlew krwi. brutalne sceny bowiem pojawiają się sporadycznie, głównie kumulując się w ostatnim akcie produkcji, łącznie nie trwając może piętnastu minut.

Po dłuższym monologu członka rodziny Mansona można próbować doszukiwać się głównej myśli przewodniej filmu, swojego rodzaju morału; reżyser sugeruje, że Hollywood wychowało nas na morderstwach i krwi, że jedyne, czego filmy uczyły pokolenia, to brutalność i śmierć. Aluzja reżysera na współczesne kino jest jawna, byłaby dobrym argumentem przemawiającym za filmem, gdyby nie fakt, że chwilę później przez dobre kilka minut dostajemy rzeź Quentina Tarantino w czystej postaci. Ciut wieje hipokryzją, ale może właśnie taki zamiar miał reżyser. Nie mam jednak zamiaru rozdrabniać się na szczegóły, ponieważ wszelkiego rodzaju smaczki jakie reżyser nam zostawił czy ukryte przekazy jak brutalność kina i spaczenie psychiki wielu odbiorców przez ową brutalność, nie ratują zbyt chaotycznej, pokrętnie opowiedzianej wielowątkowej historii. Zatem nie dostałem tego, czego się spodziewałem.

Podobał mi się DiCaprio, który kolejny raz dowodzi swojego kunsztu. Grając lekko jąkającego się, pełnego niepewności aktora wypadł fenomenalnie. Podobnie robi Pitt ze swoją postacią Cliffa. Jedyne, co wystawia na prowadzenie postać DiCaprio, to to, że postać Cliffa jest mniej złożona. Według mnie, również świetnie zagrana.

Aktorzy grający aktorów, no super.

Pozdrawiam, Wiesław T.

**ODP:**

Panie Wiesławie,

Rozumiem Pańskie rozczarowanie, w końcu „Pewnego razu… w Hollywood” to film skrajnie różny od chociażby „Djano” czy „Kill Billa” tego samego reżysera. Sam również byłem zaskoczony podczas pierwszego seansu, bo nie tego rodzaju kina się spodziewałem. Osobiście bardzo lubię i cenię ten film, natomiast jestem w stanie zrozumieć, że Pan nie był do końca usatysfakcjonowany.

Zgodzę się z Panem co do mnogości wątków – bo tych w filmie jest naprawdę sporo. Powiem więcej – Tarantino przyznał niedługo po premierze, że zostało mu całe mnóstwo niewykorzystanych w ostatecznej wersji scen, które musiał wyciąć, bo film byłby zwyczajnie za długi. Już teraz trwa niemalże trzy godziny. Jeszcze w zeszłym roku mówiło się, że Tarantino użyje niewykorzystanego materiału i zmontuje pełną wersję historii, którą następnie wyda w postaci czteroodcinkowego miniserialu (całość miałaby trwać podobno ponad cztery godziny). Póki co taka pełna wersja się nie ukazała, osobiście bardzo na nią czekam. Być może seans takiej uzupełnionej o wycięte sceny wersji byłby dla Pana pomocny? W końcu dłuższy metraż gwarantuje więcej czasu ekranowego niezbędnego do podomykania rozpoczętych wątków.

Co do hipokryzji, o której Pan wspomniał w kontekście tłumaczenia działań bandy Mansona wychowaniem na brutalnym kinie – osobiście odebrałem to jako taką przewrotną kpinę z tych morderców, którzy i tak, bądź co bądź, zostają w filmie upokorzeni. Tłumaczenie się, że jest się mordercą, ponieważ oglądało się filmy o mordercach, jest zwyczajnie chybione – to tak jakby próbować usprawiedliwić kradzież tym, że kiedyś oglądało się film o kieszonkowcach. Myślę, że właśnie to chciał pokazać Tarantino w tej scenie. Rozumiem też, że nie jest Pan fanem rozwiązania polegającego na ingerencji w rzeczywiste wydarzenia – nie każdemu taki zabieg fabularny może pasować.

Cieszę się, że mimo swego rozczarowania, znalazł Pan w filmie jakieś mocne strony, choćby grę aktorską pary głównych bohaterów. DiCaprio i Pitt świetnie wcielili się w swoje role, co zresztą nie musiało być dla nich specjalnym wyzwaniem, w końcu obaj są dość podobni do bohaterów, w których się wcielają. Obaj aktorzy jeszcze nie tak dawno temu pojawiali się niemalże w co drugim filmie, byli jednymi z największych aktorów przełomu wieków. To samo można powiedzieć o filmowych Ricku i Cliffie – niegdyś wielcy, obecnie zasłużeni, jednak coraz bardziej zbliżający się do nieuchronnej filmowej emerytury. Pod tym względem to był genialny wybór castingowy.

Szkoda, że film nie spełnił Pańskich oczekiwań. Mimo wszystko dziękuję za udział w dyskusji i ciekawe komentarze – głosy krytyczne, szczególnie te dobrze uargumentowane, są potrzebne w każdej dyskusji.

Pozdrawiam serdecznie

Jakub Kraszewski

**22 lis 2020, o 20:47 | Alicja N. (forum)**

Witam panie Jakubie!  
  
Ahoj Forum!  
  
„Pewnego razu... w Hollywood", to jak dla mnie film „kobyła”. I wiadomo nie o konia tu idzie, ale o jego długość filmu. Przy pierwszym podejściu popełniłam błąd i włączyłam płytę dość późnym wieczorem. Efekt? Nie dałam rady dotrwać do końca, zasnęłam po ok. 1,5 godziny. Przy drugim podejściu było lepiej, ale nie zmienia to faktu, że trudno było mi dotrwać do finałowej sceny. A owa scena wreszcie była prawdziwie tarantinowska. Matko kochana: kule świstały, krew się lała, pies atakował, miotacz ognia ryczał ogniem piekielnym. No i prawie dało się poczuć swąd palonego ciała brrr.  
Zastanawiałam się, czy podobała mi się alternatywna wersja prawdziwej historii? W sumie dlaczego nie. Oczywiście pod warunkiem, że do oglądania tej produkcji, zasiada widz znający prawdziwe fakty. Tarantino stworzył wersję, która dla mnie jest swoistą przestrogą dla pozostających w błogim uśpieniu i rozleniwieniu mieszkańców Hollywood.  
  
Serdecznie pozdrawiam

**ODP:**

Pani Alicjo,

Zdecydowanie „Pewnego razu… w Hollywood” może być ciężkim filmem do oglądania wieczorem, szczególnie jeśli widz jeszcze nie wie, czego się spodziewać. Film trwa niemalże trzy godziny, a w dodatku, w przeciwieństwie do poprzednich dzieł Tarantino, przez większość seansu tempo jest dość powolne – wstyd się przyznać, ale sam lekko przysypiałem w kinie podczas pierwszego seansu. A co ciekawe, film mógł być jeszcze dłuższy, bo nakręconego materiału podobno starczyłoby na ponad cztery godziny! Część scen Tarantino musiał jednak wyciąć, bo taka kobyla zdecydowanie byłaby zbyt dużym wyzwaniem dla wielu widzów (plus, o ile dobrze się orientuję, w swojej pełnej wersji film byłby zbyt długi, by zostać wyświetlony na festiwalu filmowym w Cannes, gdzie miał swoją premierę). Tarantino wspominał, że chciałby wydać pełną, ponad czterogodzinną wersję filmu w postaci czteroodcinkowego miniserialu, jednak do tej pory taka wersja się nie ukazała. A szkoda, osobiście czuję pewien niedosyt i chętnie bym taki miniserial obejrzał.

Pozdrawiam serdecznie

Jakub Kraszewski

**23 lis 2020, o 10:35 – zakończenie na forum**

Szanowni Państwo,

Nasza przygoda z filmem „Pewnego razu… w Hollywood” dobiega końca. Jak zwykle niezmiernie się cieszę, że mogłem z Państwem podyskutować na temat tego niezwykłego, bądź co bądź, filmu. Najnowsze dzieło Quentina Tarantino wzbudziło wiele emocji i ciekawych przemyśleń, w ciągu ostatnich dwóch tygodni miałem okazję zapoznać się z wieloma różnymi opiniami na temat historii. Choć przeważnie byliście Państwo zadowoleni z seansu, to pojawiały się również głosy krytyczne – z czego również się cieszę! Zawsze powtarzam, że dyskusja o filmie jest ciekawsza, gdy można usłyszeć różnorodne opinie, niejako z obu stron barykady.  
  
Jeśli miałbym podsumować jakoś podsumować wnioski, które wysnułem z naszych rozmów, przede wszystkim przypadły Państwu do gustu role głównych bohaterów, granych przez Leonardo DiCaprio i Brada Pitta. Chwaliliście też Państwo co prawda epizodyczną, jednak dla polskich widzów znaczącą rolę Rafała Zawieruchy jako Romana Polańskiego. Pojawiały się również głosy uznania dla osadzenia akcji w tym konkretnym okresie historycznym, a także związanych z tym licznych nawiązań do „starego kina”. Sam zabieg ingerencji w faktyczne wydarzenia historyczne i uśmiercenie bandy Mansona, zanim napadli oni na Sharon Tate, nie wszystkim z Państwa przypadł do gustu. Część z Państwa uznała to za ciekawy zabieg, możliwość do rozmyślań „co by było gdyby…”, część z kolei uznała to za niepotrzebne zagranie, mogące wprowadzić nieświadomego widza w błąd. Podobnie dość nierówne tempo akcji filmu nie wszystkim przypadło do gustu, niektórym z Państwa to nie przeszkadzało, inni z kolei pisali, że seans bywał momentami dość nużący. Większość z Państwa miała już wcześniej styczność z innymi filmami Tarantino, lub przynajmniej o nich słyszała, choć zdarzały się również osoby, które z jego kinem spotkały się po raz pierwszy. W przypadku osób zaliczających się do tej drugiej grupy, przynajmniej część wyraziła chęć zapoznania się z wcześniejszymi filmami reżysera – co osobiście, nie ukrywam, bardzo mnie cieszy!  
  
Cieszę się, że film wywołał tak różnorodne emocje i sprowokował do ciekawej dyskusji na jego temat. Jak zwykle bardzo się cieszę, że miałem okazję podyskutować z Państwem na temat filmu. Jak zwykle pozwoliło mi to nie tylko skonfrontować moją opinię na jego temat z innymi, nierzadko odmiennymi, ale i rzuciło mi nowe światło na niektóre aspekty dzieła Tarantino. Dziękuję wszystkim z Państwa za udział w dyskusji i dzielenie się swoimi przemyśleniami. Pozdrawiam wszystkich bardzo serdecznie.

Jakub Kraszewski